

Czym Warszawa, zwana niegdyś dumnie „Paryżem północy”, upodabnia się dzisiaj do prawdziwego Paryża? Ano tym, że w pełni sezonu letniego, podobnie jak w Paryżu, tak i w Warszawie, z przystawioną świecą szukać można poważniejszej imprezy kulturalnej, która nie tylko zadowoliliby stałych mieszkańców, lecz byłaby także atrakcją dla tłumów turystów. W Paryżu — choć źle — nie jest zresztą pod tym względem jeszcze najgorzej, za to w Warszawie — rozpacz. Urlopy w teatrach, nieciekawie w kinach, nudno, ponuro i smutno.

Toteż ucieszyłem się szczerze, gdy pod sam koniec lipca dowiedziałem się, że Halina i Jan Machulscy ze swym zespołem Teatru Ochoty wystawiają w łazienkowskim Teatrze na Wyspie (a więc pod gołym niebem) „Sen nocy letniej” Szekspira.

Dla państwa Machulskich, zasłużonych artystów i pedagogów teatralnych (a ponadto rodziców mego młodego imiennika znakomitego autora takich filmów, jak „Vabank” i „Seksmisja”), mam od da-

JULIUSZ KYDRYŃSKI

Szekspir w Łazienkach

wna wiele uznania i sympatii, choć dotychczas nie udało mi się obejrzeć na własne oczy żadnej ich imprezy. Styszałem natomiast wiele o ich słynnej już — również plenerowej — inscenizacji Szekspirowskiego „Hamleta” w Zamościu, gdzie mimo burzy i ulewnej deszczu tłumy widzów przez kilka godzin z nieśladnym zainteresowaniem śledziły tragedię duńskiego księcia. Już choćby tylko ten „Hamlet” był dostatecznym powodem, żeby wzbudzić we mnie dla państwa Machulskich sympatię i szacunek.

I z tymi uczuciami siedłem na ów „Sen nocy letniej”. A także ze świadomością, iż przychodzi tutaj Machulskim zmierzyć się z nie byle jaką, bo datującą się od Reinhardta (jeśli nie wcześniejszą) tradycją plenerowych przedstawień tej świetnej komedii, której milowymi słupami są słynne spektakle w londyńskim Regent's Park i w ogrodach Florencji. Co prawda zarówno

sceneria Łazienek, jak i Teatru na Wyspie tradycji tej może się nie obawiać. A jak jej odpowiada sam „Sen”? Cóż, jeśli napisany został rzeczywiście (a tak sądzą niektórzy) dla uczczenia zaślubin owdowiałej hrabiny Southampton z Sir Thomasem Heeneage (w maju 1594), to czy nie można wyobrazić sobie, że już jego prapremiera odbyła się w ów majowy wieczór w pięknym parku, otaczającym Southampton House? Byłaby to więc sztuka już od swej prapremiery stworzona dla przedstawienia plenerowego właśnie?

W każdym razie grana w plenerze, wśród ciemniejszych drzew i wieczornych mgieł, ta nieśmiertelna komedia staje się baśnią bardziej jeszcze poryjającą swym poetyckim urokiem niż na najwspanialszej scenie. Bo czy może być scena wspanialsza od tła żywej, bujnie rozkwitłej przyrody? I czy na jakiegokolwiek innej scenie wielka

poezja Stratfordczyka może zabrzmieć piękniej i prawdziwiej?

Amfiteatr w Łazienkach wypełniał tłum. A otaczał go tłum chyba jeszcze większy, dla którego zabrakło już miejsc. Punktualnie o dziewiątej wieczorem w listowiu za otwartą sceną, ozdobioną doryckimi kolumnami, zaczęły migać zwodnicze światła, rozległy się dźwięki dziwnej (i pięknej!) muzyki, a wreszcie ku stopniom wiodącym na teren gry podpłynęła lódź, wioząca Tezeusza i Hipolitę. I usłyszeliśmy pierwsze słowa Szekspira — Gałczyńskiego (bo Machulscy zagrali „Sen” w przekładzie naszego wielkiego poety, za co dodatkowe brawo!).

W ciągu półtorej godziny trwania spektaklu, rozwijającego się w oszalałej grze światła, brawa rozlegały się zresztą wielokrotnie. Publiczność była szczerze przejęta i zachwycona. Machulscy odnieśli sukces.

A może sukces odniósł tylko Szekspir? I to mimo wszystko?

Ponieważ krytyk musi tu mieć — niestety — poważne zastrzeżenia. Przy całym należnym szacunku i sympatii dla państwa Machulskich, muszę powiedzieć, że młodzi aktorzy mimo godnych uznania wysiłków nie dorobili do swych zadań, że wiele można by im było wybaczyć, gdyby przynajmniej ośmieliwali (w tej erotycznej przecież komedii!) urzekającą aparycją, czego jednak również nie było, że inżynier dźwięku nie zauważył, iż tekst od początku do końca jest nieznośnie przerywany, że wreszcie...

Ze wreszcie ja przynajmniej (przy całym należnym szacunku itd.) nie mogę się zgodzić na inscenizację „Snu nocy letniej Jana Kotta” zamiast „Snu nocy etniej Williama Shakespeare’a”. Myślę przede wszystkim o zdemoniowaniu przez parę insceniza-

torsko-reżyserską świata czarów tej uroczej i pogodnej komedii. Zdemonizował go — w sposób wydumany i jak najbardziej niestuszny, choć trzeba przyznać, że błyskotliwy — Jan Kott w swoim słynnym szkicu, a Machulscy poszli niewolniczo za jego interpretacją. Nie mam tu już miejsca na szczegółowe omawianie tej sprawy (kogo to interesuje, niech przeczyta moje postawione do „Snu nocy letniej”. Wyd. Literackie Kraków, 1982). Ale zrobić z Pucka pokracznego diabła, z Tytania dziwkę... — nie proszę państwa, te „nowoczesne” teorie Szekspirowi nie przychodziły nawet do głowy, daję Wam na to słowo honoru. To się przecież kłóci z tekstem i całym nastrojem sztuki!

Jeśli więc spektakl łazienkowski obronił się mimo wszystko, to obronił się dzięki tekstowi Szekspira w przekładzie Gałczyńskiego. Pomimo Kotta, a także pomimo niepotrzebnego i żalnego skarykaturyzowania postaci i scen ateńskich rzemieślników. Niech państwo Machulscy nie czytają nowoczesnych komentarzy do Szekspira. Niech czytają samego Szekspira — i myślą. Tak, jak to robił i zalecał Wyspiański.